

W ubiegły poniedziałek o ósmej wybraliśmy się z Br. Josephem, z którym jesteśmy razem w Woda, do Lilongwe. Dotarliśmy tam godzinę później i zatrzymaliśmy się najpierw u Sióstr Klarysek. Spotkaliśmy się z Matką Przełożoną, gdyż miałem jej do przekazania list, który miała zabrać do RPA. Ja też miałem tam być w tym tygodniu, ale ponieważ nadal nie mam pozwolenia na prace, nie mogę się stąd nigdzie ruszać. Drugim, może ważniejszym, powodem mojej nieobecności w RPA jest to, że nie mogłem zostawić parafii bez księdza. Co trzy lata wszystkie Matki Przełożone z klasztorów w angielskojęzycznej Afryce mają swoje zebranie generalne. Ja, jako ich asystent kościelny, też miałem obowiązek brać udział w tym zebraniu. To zebranie rozpoczęło się wczoraj i będzie trwać do 9-go maja. W moim obowiązku zastąpi mnie tam O. Liam McDermott z prowincji południowoafrykańskiej. Podczas pobytu naszego prowincjała u nas pod koniec marca, poprosiłem go, aby mnie zwolnił z tej funkcji, bo nie mogę być i asystentem kościelnym od Sióstr Klarysek i proboszczem tutaj w Woda. Zgodził się na to, ale teraz jest jeszcze potrzebna zgoda z Watykanu, bo to Kongregacja do spraw zakonnych poleciła mi to zadanie i tylko ona może mnie z tego zwolnić, oczywiście za poparciem prowincjała. Gdybym miał do dyspozycji dwóch obrotnych wikarych, to mógłbym podjąć wszystkim obowiązkom, ale tak to muszę z czegoś zrezygnować. Z parafii nie mogę, bo na razie nie ma mnie tutaj, kto zastąpić. Nie znaczy to, że jestem taki ważny i beze mnie ta parafia upadnie. Nic z tego. Po prostu, nie mamy ludzi w prowincji. Po wizycie u Klarysek pojechaliśmy do dzielnicy Likuni. Joseph miał sprawę w sekretariacie „Sprawiedliwości i Pokoju”, a ja w drukarni diecezjalnej. Niewiele tam załatwiłem, ponieważ modlitewniki, które zamówiłem w styczniu, jeszcze nie są wydrukowane. Potem pojechałem do sekretariatu „Sprawiedliwości i Pokoju”. Zostałem tam Josepha czekającego na audiencje z sekretarzem. Czekałem razem z nim wykorzystując te okazje na krótka drzemkę. Po jakimś czasie musiałem te drzemkę przerwać, bo sekretarka od sekretarza przyniosła nam kawę. To mi się podobało się. Od razu ciśnienie wróciło do normy. Potem w końcu spotkaliśmy się z sekretarzem. Ja tylko słuchałem, bo to Joseph miał sprawę do niego. Przed 12-tą ruszyliśmy dalej, do dzielnicy Chinsapo, gdzie Joseph ma wielu znajomych z choru, w którym śpiewał przez siedem lat, zanim wstąpił do nas. Jest to chor, który śpiewa w kaplicy u Sióstr Klarysek, w niedziele i święta. Tam odwiedziliśmy panią, Chimombo (wdowę) i jej córkę z rodziną. U nich zjedliśmy dobry obiad, co było już wcześniej zaplanowane. O 14-tej ruszyliśmy dalej, do kurii biskupiej. Po załatwieniu spraw w kurii, pojechaliśmy do centrum, na parking przed supermarketem „Shoprite”. Tam rozdzieliliśmy się, bo każdy z nas miał inną sprawę do załatwienia. Joseph szukał części zamiennych do swojego motocykla, a ja poszedłem do fryzjera. Musiałem trochę czekać, ale mnie to nie zniechęciło, ponieważ musiałem się już ostrzyć. Wyglądałem potem znacznie lepiej. Potem w księgarni katolickiej kupiłem różance, które sprzedajemy u nas w biurze (zawsze są chętni, ale raczej do noszenia, niż do modlitwy), zrobiłem małe zakupy w supermarkecie, a potem pojechałem do innej księgarni, żeby sprawdzić ceny książek dla szkoły średniej. Niewiele załatwiłem. Będę musiał powiedzieć dyrektorowi, żeby posłał do Lilongwe jakiegoś nauczyciela, który wie, jakie książki są potrzebne. Miałem ich spis, ale w księgarni te tytuły były trochę inne. O 16-tej spotkaliśmy się z Josephem na parkingu i wracaliśmy do domu.

W środę od 9-tej mieliśmy zebranie z katechistami, podczas którego omówiliśmy niektóre sprawy duszpasterskie w parafii i przygotowaliśmy program pracy na maj i czerwiec. Oj, czeka nas sporo

roboty. Wszystko Bedzie dobrze jak zdrowie dopisze i samochód nie zawiedzie. Pan Bóg zna nasze plany i jak chce, żebyśmy zrobili to, co zaplanowaliśmy, to nam na pewno pomoże. O 12-tej zrobiliśmy przerwę na obiad, który ugotowała żona katechisty Kamwatso. Spisała sie wspaniale i wszystkim ten obiad smakował, a nie było wiele: nsima, kapusta i kozie mięso. Potem pracowaliśmy dalej aż do 13:45. Dawno już nie mieliśmy tak długiego zebrania z katechistami. Reszta popołudnia była spokojna.

W piątek też nie było tłumów w biurze, ale na brak roboty nie narzekałem. Dobrze jest czasem mieć taki dzień, bo wtedy można zrobić to, co się odkłada na później. Te odłożone na później sprawy też, są ważne, ale nie trzeba ich załatwić od razu. Oczywiście, jak się za dużo takich spraw odłoży, to potem jest ciężko nadrobić stracony czas. Po obiedzie pojechałem do „miasta” samochodem, bo chciałem kupić paliwo. Na stacji benzynowej nie było ani kropli, a u prywatnego sprzedawcy paliwa dostałem ostatnie siedem litrów. I tych kilka litrów stanowiło dla mnie wielką pomoc. Potem zajrzałem do Internetu, który tego dnia działał bez zarzutu. W skrzynce pocztowej znalazłem kilka listów. Ciągle dostaje jeszcze życzenia wielkanocne. Chyba po raz pierwszy mogę powiedzieć, że dostałem życzenia od wszystkich, do których i ja je posłałem. Muszę znowu znaleźć trochę czasu, żeby napisać do wszystkich jakiś list. Kazania na niedzielę nie musiałem przygotować w ubiegłym tygodniu, ponieważ czytaliśmy w niedzielę list napisany przez naszych biskupów z okazji Tygodnia Modlitw o Powołania Kapłańskie i Zakonne.

W sobotę o ósmej pojechałem do stacji Bimphi. Tam odprawiłem Msze św. dla kobiet ze Stowarzyszenia Kobiet Katolickich, które miały swoje zebranie od piątku wieczorem, przez całą noc. Kobiety miały po tej nocy jeszcze dość siły, żeby wyjść mi na spotkanie, jakiś kilometr od kościoła. Otoczyły samochód, i śpiewając i tańcząc, posuwały się powoli aż do kościoła w Bimphi. Ja oczywiście śpiewałem i tańczyłem siedząc w samochodzie i uważając, żeby którejś nie przejechać. Po Mszy św. zostałem zaproszony na posiłek. Była to pora drugiego śniadania, a my jedliśmy już obiad. Towarzyszył mi jeden z liderów tej stacji. Potem zabrałem do samochodu kilka kobiet i wracaliśmy do Dowa. Na zebranie przyszły kobiety prawie z wszystkich naszych stacji. Było ich razem 215. Niektóre musiały iść kilka godzin, bo 10 – 15 kilometrów to jest jednak, co iść. Podziwiam je. Dla nich jest to okazja, żeby się trochę oderwać od codzienności i przeżyć, co innego. Nasze „miasto” było bardzo zatłoczone tego dnia. Z trudem przedzierałem się przez główną ulicę w centrum. Powodem tego był festiwal tańców tradycyjnych w wykonaniu mężczyzn i chłopców należących do tradycyjnej religii „Nyau”. Tancerze są poprzebierani za duchy zwierząt i ludzi. Tłumy dzieci i młodzieży z odległych wiosek naszego powiatu zmierzały do Dowa, żeby oglądać to widowisko. Odbywało się ono na boisku piłkarskim. Ja wróciłem do domu. Po południu pisałem na czysto program pracy na maj i czerwiec. Nie było to takie łatwe. Najbardziej żał mi jest naszych parafian, że muszą tak długo czekać na niedzielna Msze św. – do czterech miesięcy. Z drugiej strony, jak mają okazję uczestniczyć we Mszy św., to nie przychodzą. I bądź tutaj mądry, człowieku.

W niedzielę, po odprawieniu Mszy św. tutaj, w Dowa o 7: 30, pojechałem do stacji Chibwana. Jest to 20 kilometrów od Dowa. Razem ze mną jechali katechista i jego żona. Katechistę zostawiłem po drodze, w stacji Chabvu, a jego żonę kilka kilometrów dalej. Stamtąd nie było już daleko do wioski skąd obydwójce pochodzą. Dojechałem tym razem aż do kościoła w Chibwana, ponieważ ludzie naprawili most i drogę prowadzącą do niego. Byłem w tej stacji niecałe trzy tygodnie temu, a zatem, po przygotowaniu wszystkiego, rozpoczęliśmy od razu Msze św. Jak na te stacje, to przyszło dużo ludzi. Gubią się jednak w dużym kościele, który jest wypełniony tylko w jednej trzeciej. Po przeczytaniu listu, ochrzciłem 10 dzieci. Aż dziw, bo wszystkie zachowywały się wzorowo. Ani

jedno dziecko nie płakało na moj widok, co często się zdarza. Wszystko odbywało się sprawnie i uroczyście. Jedyne chor nie dopisał tym razem, a to, dlatego, że chórzystom nie chce się przychodzić na próby. Na ofiarowanie dostałem trochę darów: maki kukurydziana, pomidory, fasole, dwie lodygi trzciny cukrowej, słodkie ziemniaki i dużą wiązkę drewna opalowego, żebym to sobie mógł wszystko ugotować. Jak zawsze, byłem wdzięczny naszym parafianom za każdy podarunek i za każdy wyraz życzliwości. Sa tacy, którzy autentycznie cieszą się z każdej wizyty misjonarza? Po Mszy, św. załadowaliśmy najpierw te wszystkie podarunki do samochodu, a potem zjedliśmy dobry obiad: nsima i kura. Kury w tej stacji, a także w innych stacjach, sa chyba cale zestresowane, gdy słyszą, że ma być Msza św. Potem zacząłem moja podróż powrotna do Dowa. Oczywiście, jak zwykle, nie byłem sam. Zabrałem w Chibwana dwie kobiety z dziećmi, które chciały się dostać do szpitala. Po drodze zabrałem żonę od katechisty, z dwoma workami maki kukurydzianej (po to jechała do swojej wioski), a także jego samego oraz pewna dziewczynę, nasza parafiankę, która była w domu po prowiant i wracała do szkoły w Dowa. Spokojnie dotarliśmy wszyscy do Dowa. Dwie kobiety z dziećmi zostawiłem przy szpitalu, a resztę pasażerów – przed naszym domem. Wróciliśmy prawie dokładnie o 14-tej. Reszta popołudnia była spokojna i minęła bardzo szybko.

Pamiętający w modlitwie, *Sebastian*.